Kraków, 20-go Stycznia 1910 r.

Rok 6. Nr. 3.

Dzwonek.

Gazetka dla dzieci.

Dodatek do Nr. 5 „Prawdy.“

KOLENDA.

POWIASTKA KLEMENTYNY TANSKIEJ

NA STYCZEN.

(Dokończenie).

Ludwikowi serce bić mocno zaczęło na te ostatnie słowa cnotliwego Plebana; nie mógł rozpoznać myśli swoich, cisnęły się tłumem do głowy jego; dziwnego doznawał wzruszenia. Skończyło się nabożeństwo, wyszli wszyscy z kościoła, a on jeszcze przyjść do siebie nie mógł. — „Wiesz Ludwiku“, rzekł mu Ojciec wsiadając do sanek, „żal mi cię, nie będziesz miał dzisiaj konika. Posyłałem służącego, powiedział mi, że mieszczanin pojechał w sąsiedztwo na odpust i nie wróci aż w wieczór. Ale jeśli chcesz, to możesz tu jutro rano po niego z nauczycielem przyjechać.“ — Odetchnął Ludwik na te słowa Ojca, i z wielkiem podziwieniem rodziców, prawie z radością wsiadł do sanek. — Jadąc przez miasteczko spostrzegł z jednej strony nowo postawione domy a z drugiej gołe kominy, gruzy, okopcone belki, ślady pozostałe okropnego pożaru! patrzył się na niego długo ze smutkiem, i przez całą drogę, aż do końca tego dnia mocno był zamyślony.

Nazajutrz wstał skoro świtać zaczęło; wziął ciepły płaszcz swój, czapeczkę niebieską z sobolami, i wyjechał z nauczycielem do Kurowa. Kiedy już wjechali do miasta woźnica chciał na bok zwrócić i udać się jak miał rozkaz

do domu mieszczanina. Wstrzymał go Ludwik, a wziąwszy nauczyciela za rękę prosił żeby do plebanii jechać kazał. Nauczyciel zapytał się, jakaby tej odmiany była przyczyna? Ludwik odpowiedział drżącym i nieśmiałym głosem: że już mu się zupełnie odechciało konika i że pieniądze przeznaczone od Ojca na to kupno chciałby dać (jeśliby to można zrobić) księdzu Piramowiczowi dla biednych pogorzelców. Uściskał chłopczynę rozrzewniony nauczyciel, zapewnił go, iż ojciec gniewać się o to rozporządzenie nie będzie, i zajechali przed plebanią.

Zastali szanownego Kapłana otoczonego starcami, kobietami, dziećmi i słabemi. Ten przyszedł do niego po wsparcie, ta po radę, ta po naukę, tamci po lekarstwo, wszyscy żądali pociechy! Zobaczywszy przybyłych gości, przywitał ich uprzejmie, i prosił, żeby poszli na chwilę do jego gabinetu. Nie mieli czasu przypatrzyć się licznemu księgozbiorowi, zastanowić się nad nieustanną czynnością serca i umysłu cnotliwego i światłego plebana, gdyż nie dał im długo na siebie czekać; wkrótce nadszedł, i zapytał się mile, coby ich tak rano do niego sprowadzić mogło? Ludwik spuszczone miał oczy i nie śmiał nic mówić. Nauczyciel jego imieniem ofiarował pieniądze. Rozrzewniło plebana dobre serce Ludwika. „Synu mój, rzekł mu, szczęśliwy jesteś iż w tak młodym wieku możesz i umiesz dawać! Nie zawstydzisz narodu twojego! Ojczyzna nasza liczy wielu dobroczynnych obywateli, bierz ciągle z nich przykład, postępuj zawsze w ich chwalebne ślady, wspieraj gdzie możesz cierpiącą ludność, jej głos nie obijał się nigdy napróżno o prawdziwego Polaka ucho! Zaledwiem przemówił o potrzebie parafianów moich, zaczęły mnie dochodzić ze wszech stron znaczne ofiary pieniężne; już mi w tej chwili nie wiele brak na wystawienie reszty mieszkań biednym pogorzelcom; rozpocznie się ta robota da Bóg doczekać na wiosnę. Kiedy wówczas przejeżdżać będziesz koło świeżo wystawionych domostw, kiedy ujrzysz radość mieszkańców, usłyszysz ich błogosławieństwa, pomyśl sobie: i jam się do tego dołożył! i mnie to oni błogosławią!“ — Tu Ludwik nie mógł wytrzymać i zawołał ze łzami: „Już mi nic nie żal konika!“ — „Jakiego konika?“ zapytał się Pi-

ramowicz. Ludwik się zmięszał, zapłonił, nie mógł nic odpowiedzieć; widząc to nauczyciel, opowiedział z wewnętrzną rozkoszą, jaką po wczorajszem kazaniu uczeń jego umyślił uczynić ofiarę. Uściskał go czulej jeszcze szanowny pleban. „Zrozumiałeś zupełnie“ rzekł mu, „moją naukę. Jałmużna twoja jest prawdziwa, boś się dla niej miłego pozbawił daru; ale wierz mi, gdybyś w uboższym stanie zrodzony, dostał był od rodziców fraszkę parę złotych wartującą, i przyniósł mi ją z takiem sercem w ofierze, z równą byłbym ją przyjął rozkoszą, równie ona miłą byłaby Bogu!“

Szanowny kapłan otarł w tej chwili łzy płynące po licach swoich, a Ludwik ucałowawszy rękę odjechał uradowany.

Już z mniejszym spoglądał smutkiem na opalone kominy i okopcone belki, bo już w dziecinnej i żywej wyobraźni swojej widział, jak za pieniądze przeznaczone na konika, postawią na ich miejscu nowe budowy. Tam gdzie dawniej wznosił się domek, spostrzegł kilkoro dzieci biednych pogorzelców; roztrząsały śnieg patyczkami; w popiołach i gruzach szukały zapewne zgubionych w pożarze łatek, zabawek, gałganków! „Będziecie i wy niedługo własne miały schronienie, pomyślał sobie, odkupią wam rodzice utracone fraszki!“

Mając całą myśl pogorzelcami zajętą, i że uczynkiem swoim przyczynił się do ich wsparcia, przebywał po szklistej drodze pola kurowskie, i rychlej niż się spodziewał, stanął przed rodzicielskim domem. Pobiegł zaraz do matki, wyglądała go już dawno oknem, i szła zdziwiona naprzeciw niemu, pytać się, czemu nie przyprowadził z sobą konika? „Już nie będę miał konika,“ rzekł jej Ludwik, tuląc się na jej łono, „alem wspomógł biednych pogorzelców!“ Wzruszenie nie dozwoliło mu więcej mówić, i raz jeszcze nauczyciel wyręczyć go musiał. Przycisnęła syna do serca swojego uszczęśliwiona matka! nadszedł w tę chwilę Ojciec, i stał się uczestnikiem jej radości. — „A z siodłem i z uzdeczką co się stanie?“ zapytała się matka. — „Dam wszystko jeżeli pozwolisz,“ odpowiedział Ludwik, „księdzu Piramowiczowi; on powiada, żeby i drobniejsze przyjął fraszki, bo najmniejszy datek może być jałmużną!“

Ludwik tak dobrze rok zacząwszy, szczęśliwy był przez cały jego przeciąg; szczęśliwym był i poźniej, bo zawsze toż samo serce zachował. Zaraz w następującą Niedzielę złożył w ręce plebana kurowskiego podarek Matki. Z takiemże uczuciem jak i pierwszy przyjęty został. Od tego czasu odwiedzał często Ludwik szanownego Piramowicza, uczył się od niego cnót wszelkich, a kiedy śmierć wydarła tego męża Ojczyznie, przyjaciołom, uczonym, parafianom i nieszczęśliwym, wraz z całym ludem sąsiedzkim łzy lał rzewne nad grobem jego.

DO DZIECI.

Jeśli chcecie być dobremi,
Miejcie miłość dla tej ziemi,
Na niej rosną drzewa ciemne,
W letnim skwarze tak przyjemne.
Nad nią ptactwo różnopióre
Podlatuje z pieśnią w górę.
Na niej zboże, co nas żywi,
Na niej możem być szczęśliwi.
A jeśli wam ziemia droga,
To tak módlcie się do Boga:
„Panie Boże, prosim o to,
Nie o srebro nie o złoto,
Lecz o szczęście dla tej ziemi,
Niech się na niej zboże pleni,
Niechaj wzrasta w dziesięcioro,
Niech rolnicy plony zbiorą,
A zebrawszy w pomyślności,
W szczęściu, zdrowiu i jedności,
Niechaj żyją jakby w niebie,
O to, Boże, prosim Ciebie!

Części nogi: udo, kolano, przedudzie, stopa, palce, paznokcie.

Jak ptaszki pielęgnują swe dzieci.

(Dokończenie).

Powiem wam też, co się raz wydarzyło pani Wildze przy budowie gniazdka. Miała ona bardzo miłego małżonka.

Pewnego dnia oboje wybrali się na poszukiwanie pomieszczenia odpowiedniego do zaczepienia gniazdka. Przeleciawszy gaik od drzewka do drzewka, natrafili wreszcie na śliczny klon. Dwie gałązki zwieszały się ku sobie na wysokości bezpiecznej od kotów i okrutnych chłopaków. Natychmiast wzięto się do utkania kołyseczki. Od wczesnego poranku, kiedy i wy i ja jeszcześmy w łóżkach leżeli, one już chyżo uwijały się przy robocie za włókienkami, za mchem, za puszkiem, śledząc bystremi oczętami. Z jakie cztery dni trwała ta gorliwa praca, i gniazdko miało się ku ukończeniu, gdy pani Wilga w otwartem oknie spostrzegła zawieszony strzępek. Zadowolona, że natrafiła na to, co jej właśnie było nader potrzebne, śmignęła wprost w okno i, schwyciwszy gałganek do dzióbka, odfrunęła jak strzała ku gniazdku. Tam zastała męża zajadle tkającego jakiś koński włos, znaleziony na pastwisku. Na widok strzępka wielka ogarnęła go radość i dalej wplatać go i przetykać nim wszystkie otwory gniazdeczka!



Gniazdko sikorki, zwanej remizem.

Ale zbyt długi strzępek splątał się w supełek, i podczas rozciągania, pani Wilga nieszczęśliwym trafem włożyła swe nożęta w sam środek pętliczki. Mąż jak mógł biedził się, aby żonę wyzwolić z więzienia, piszczał żałośliwie, i kto wie jakby się ta historya była skończyła, gdyby poczciwy jakiś człowiek nie był rozciął supełka. Jaki to szczęśliwy traf, że właśnie tamtędy przechodził!

Państwo Sikorowie*) lepią gniazdka jeszcze doskonalsze od gniazd pp. Wilgów. Zmyślne te ptaszki zamykają je szczelnie od wierzchu, pozostawiając okrągły kurytarzyk do wejścia z boku, podobny do szyjki nachylonej butelki. Maleńkie te ptaszyny, żyjące w Europie, dokonały sztuki budowania schronienia, gdzie ani wiatr nie zaziębi, ani słoneczko nie spiecze ich ukochanych dziateczek.

Ale afrykański tkacz przewyższył i sikorki pod względem zmyślności. Jego gniazdko wisi dnem do góry, z ukrytem u samego dołu otworem. Wygląda, jak przewrócona fajka. W kulistej części gniazdka jest pokoik mieszkalny, z framugą, chroniącą dzieci od upadku. Podczas budowy jeden z ptaszków pracuje od strony zewnętrznej, drugi od środka. Każde źdźbło trawy, każdy strzępek wędruje tam i napowrót pchany dzióbkiem ptaków; przy tym podziale pracy, posuwa się ona żwawo naprzód. Od czasu do czasu robotnicy robią sobie wypoczynek i, świegocąc wesoło i pieszczotliwie, okrążają swój domek.



Gniazdko tkacza afrykańskiego.

Bo i one chętnie się bawią. Najczęściej zgoda panuje między małżeństwem. Raz tylko byłem świadkiem swaru w ptasim świecie. Poszło o to, że jednemu z nich zachciało się poswawolić przed zabraniem się do roboty. Do tego stopnia się zadąsał, że jął bić dzióbkiem w niedokończone gniazdko, jakgdyby pragnął je zniszczyć. Ale towarzyszka, widząc, co się święci, pogłaskała złośnika i oboje frunęli sobie kilka razy śród liści i gałęzi. Przed upływem minuty oboje pracowali dalej w najlepszej zgodzie.

Zmysły: wzrok, słuch, węch lub powonienie, smak i dotyk czyli czucie.

---

*) po niem. die Meisen.

Mądra myszka.

Myszka wychyliła się z nory i ujrzała pułapkę. „Aha!“ zawołała, „tam stoi pułapka! Jacy oni mądrzy, ci ludzie! ustawiają na trzech patyczkach ciężką cegłę i do jednego patyczka przyczepiają kawałek słoniny. To oni nazywają pułapką. Ba! gdybyśmy to nie były mądre. Ale my, myszki, doskonale się na tem znamy: zechcesz spróbować słoninki, wtem bęc! cegła się obala i zabija myszkę. O, nie! nie głupiam! Znam się na waszych podstępach.“ „Ale“, ciągnęła myszka dalej, „trochę powąchać nie zaszkodzi; od samego wąchania cegła nie spadnie. A ja tak lubię wąchać słoninkę! Taka piękna i tłusta! Tylko trochę powącham!

To powiedziawszy, myszka podbiegła i powąchała słoninkę: a słoninka tak mile pachnie!... Myszka coraz to bardziej się zbliża; z lekka potrąca noskiem słoninkę, i bęc! cegła upada i zabija myszkę.

Dobre niedźwiedzisko.

W pewnej oberży, a wiecie też co to jest oberża?... Oberża jest to wielki dom przy gościńcu; do domu tego zajeżdżają furmani i podróżni, aby wypocząć i przenocować, a potem dalej wyruszyć; — otóż do takiej oberży zaszedł pewien podróżny, który wodził za sobą na łańcuchu ogromnego niedźwiedzia. Wyuczył on tego niedźwiedzia stawania i chodzenia na dwóch nogach, musztrowania się kijem i innych rozmaitych sztuk; tym sposobem zarabiał sobie trochę pieniędzy.

Podróżny ten, przybywszy, zasiadł do wieczerzy, a niedźwiedź stał sobie w stajni i mruczał.

Na górze, nad tą stajenką była izdebka, a w tej izdebce bawiło się troje dzieci: najstarsze miało sześć lat, a najmłodsze dwa lata. Matki nie było w domu, wyszła za sprawunkiem.

Wtem idzie coś po schodach: człap! człap! człap! człap!

— Któż to taki? — pytają dzieci... Aż! tu naraz otwierają się drzwi z łoskotem... i wchodzi... pan niedźwiedź; nie chciało mu się stać tak samotnie w stajni, więc sobie przyszedł na górę w odwiedziny do dzieci.

Dzieci przestraszyły się okropnie, bo nigdy jeszcze niedźwiedzia nie widziały, i pochowały się po kącikach. Niedźwiedź zaraz obszedł wszystkie kąty i znalazł wszystkie dzieci; lecz im nic złego nie zrobił, obwąchał tylko każde z osobna, dotykając je swoim nosem, tak, jakby je chciał pocałować.

— To pewnie jakiś wielki pies — pomyślały dzieci, przybliżyły się już śmielej do niego i pogłaskały go lekko; niedźwiedź zaś położył się na ziemi. Najmłodszy chłopczyk wszedł mu zaraz na szyję i siedział na niej jak na koniu, a potem kładł główkę w wielkie kudły jego i bawił się w chowanego. Drugi chłopczyk wziął bębenek i zaczął bębnić: wtedy niedźwiedź natychmiast się podniósł, stanął na tylnych łapach i zaczął tańczyć — a jak tańczył, a jak kiwał! jak machał łapami!... Jakże się dzieci z niego śmiały!... jak się cieszyły i bawiły!

Potem znowu dzieci wzięły kijki, a jemu dały także duży kij z za pieca i dalejże maszerować po pokoju, jak żołnierze: raz dwa! raz dwa!... a niedźwiedź znowu na dwóch nogach za niemi tak samo maszerował.

Wtem wchodzi matka tych dzieci... Biedna! Zobaczywszy ogromnego niedźwiedzia, samego z dziećmi, struchlała z przestrachu. Ale najmłodszy chłopczyk kiwnął główką zdaleka i zawołał.

— Nie bój się mamo! my się tylko bawimy w żołnierzy!

W tejże chwili przybiegł także podróżny z oberży, również przestraszony; szukał on już niedźwiedzia, i usłyszał go mruczącego na górze; zabrał więc dobre zwierzę i odprowadził napowrót do stajni.

Dzieci bardzo się zasmuciły, że już nie miały tak przyjemnego towarzysza zabawy.